Pobudka o piątej rano. Tylko my, kilka dziewczyn, wstajemy wraz ze wschodem słońca i idziemy na pierwsze w życiu zajęcia z jogi. Podczas gdy reszta smacznie jeszcze śpi w hotelu, my rozciągamy nasze zastygłe kończyny i w przedziwnych pozach skupiamy umysły na jednostajnych słowach naszej nauczycielki. Doświadczenie naprawdę godne polecenia, a zakwasy – da się przeżyć!

Ciepły dzień wykorzystaliśmy na zwiedzanie synagogi oraz dzielnicy żydowskiej Kochinu. Kolorowe uliczki kuszą sklepikami ze ślicznymi pamiątkami i aż w głowie się kręci od nadmiaru rzeczy. Miejsce bardzo turystyczne i przychodzi mi do głowy, że trzeba się spieszyć. Spieszyć się, aby zdążyć zobaczyć coś prawdziwego, Indie nieskalane jeszcze przez zewnętrzny bajzel. Czas ucieka między palcami.

Późniejszy monsun naprawdę dał nam w kość. Jeszcze tylko prysznic i część z nas skorzystała z możliwości pójścia na mszę w języku angielskim do kościoła katolickiego znajdującego się w pobliżu. Jak to w Indiach, bez przygód się nie obyło – w trakcie mszy kilkakrotnie zabrakło prądu a muzyka przypominała, jak to ujęła koleżanka, hity rodem z niemieckiego wesela. I znów jesteśmy bogatsi o kolejne doświadczenie!

W Kochi są najbardziej kiczowate kościoły świata. Malowane ściany mające z założenia imitować marmur to standard. Pełno figur pomalowanych z założenia naturalistycznie, tyle że jaskrawymi kolorami w bazylice dodatkowym elementem jest iluminacja, której kolejny efekt stanowią przerwy w dostawach prądu podczas burzy, czyli wtedy, kiedy na przykład my mieliśmy okazję uczestniczyć w nabożeństwie. Do tego chórki śpiewane z podkładem godnym polskiego wiejskiego wesela.

Gdybyśmy nie byli tam w niedzielę, zamieściłabym obszerny poetycki opis ton imbiru suszących się na wielkim dziedzińcu jakieś cztery km od centrum i pięknym romantycznym targu przypraw, ale w tym chrześcijańskim mieście święcą dzień święty, więc w końcu nic nie zobaczyliśmy. Potem tylko zakupy przerwane brutalnie przez monsun.